

Pro memoria...

Trudno mi mówić o Księdzu Witoldzie w czasie przeszłym...

Był niezwykle wyrazistą osobowością; jedną z tych, które nie znikają z pamięci i serca.

O aktorze Witoldzie Andrzejewskim słyszałam we wczesnym dzieciństwie od moich kochanych wujostwa, którzy mieszkali w Gorzowie przy ul. Teatralnej, w takim przylepionym do głównego budynku domku „na kurzej stópce”, vis a vis Teatru im. J. Osterwy, w którym aktorował Witold. Ilekroć ciocia Stasia, najstarsza siostra mojej mamy przyjeżdżała do nas do Szczecina, wśród wielu barwnych opowieści były i te o księdzu, który był: „świątecznym aktorem, chodził w gustownym, czarnym aksamitnym berecie” i elegancko kłaniał się Krysi i Agnieszce, córkom wujostwa. Obie panny ponoć codziennie wyglądały okienkiem w porze, w której aktorzy wychodzili z teatru po próbie... Witold znany był bliżej mojej gorzowskiej rodzinie dzięki swojej mamie, śp. pani Jadwidze Andrzejewskiej, która bywała częstym gościem wujostwa. Później, gdy i ja zamieszkałam w 1978 r. w Gorzowie, zdarzało mi się spotykać panią Jadwigę u wujostwa, ale było to już w mieszkaniu przy ul. Słonecznej, gdyż domek na Teatralnej trzeba było opuścić. Pamiętam zastawiony różnymi ciocinymi przysmakami stół i panią Jadwigę z nieodłącznym papierosikiem marki Carmen w dłoni.... Była drobniotka, filigranowa i bardzo energiczna, więc i dysputy z ciocią były dynamiczne! Pamiętam bardziej klimat tychże, niż ich treści.

Księdza Witolda po raz pierwszy zobaczyłam właśnie w 1978 r. w Gorzowie, gdy jako bardzo młoda dziewczyna zaangażowałam się do Teatru im. Juliusza Osterwy. Byłam w zespole aktorskim przez pięć kolejnych sezonów - w tym samym więc teatrze, na którego deskach scenicznych odnosił sukcesy Witold. Pracownicy teatru zachowali Jego zdjęcia z różnych przedstawień. Pamiętam, że jedno wisiało na drzwiach pracowni malarskiej też już śp. Michała Puklicza.

Jeżeli pracownicy techniczni teatru, którzy zawsze mieli niezwyklego nosa do aktorów, przechowali zdjęcia artysty, świadczyło to o ich niezwyklej dla niego atencji! Pamiętali Witolda aktora starsi koledzy aktorzy i czasami wspominali to i owo. Niestety, nie pamiętam szczegółów...

Któregoś razu, po wieczornej mszy św. w katedrze, zawędrowałam z grupą młodych, nieznanych mi ludzi na plebanię, aby przedstawić się księdzu. Tak też się stało. Powodowała mną chęć zobaczenia z bliska człowieka, o którym tyle już słyszałam i którego porywające, odważne kazania, wygłaszane wspaniałym, niepowtarzalnej barwie głosem, zapadały w serce! A do tego te ciocine opowieści!

Ponieważ nie byłam formalnie związana z duszpasterstwem czy inną wspólnotą prowadzoną przez księdza, nasze kontakty pozostały sporadyczne. Zagęściły się na początku tych okropnych lat osiemdziesiątych. Stan wojenny, niepewność, lęk... Bywało, że Ksiądz Witold, któremu wiadome służby nie dawały spokoju, wpadał do teatru, najczęściej w czasie przedpołudniowej próby i dopiero wówczas odetchnąwszy spokojnie, wypuszczał spod kurtki sutannę! O stanie wojennym nie będę szerzej pisała - kto przeżył ten czas, ten wie! Ale i wśród ciemności pojawiały się światła i to jakie! Ksiądz Witold zaprosił nas do zrealizowania nie lada przedsięwzięcia. Otóż wymyślił sobie, że trzeba wystawić „Dziady” Adama Mickiewicza i to dokładnie w noc zaduszną stanu wojennego! Gdy piszę te słowa, odczuwam dreszcz emocji, które wówczas były nie do opisania! Na tajne - dosłownie - próby

przychodziliśmy do katedry po naszych wieczornych zajęciach w teatrze, czyli grubo po dwudziestej. Były to oczywiście „Dziady” we fragmentach, wg scenariusza księdza, ale uzupełnione współczesnym finałem - środkiem świątyni, od strony głównego wejścia ku prezbiterium, które stanowiło główną scenę, szła kolumna stoczniovców (aktorzy, statyści) z potężną pieśnią „Boże coś Polskę”...

Była głęboka, mroźna, listopadowa noc. Świątynia otoczona mnóstwem milicyjnych wozów, a w środku kilkaset zaproszonych - w większości - imiennie osób. Starsi koledzy aktorzy mówili później, że tyle lat spędzili na scenie, a nigdy nie przeżyli czegoś tak podniosłego, wręcz porażającego!

Wróć na chwilę do etapu prób. Trwały około dwóch tygodni, a może krócej, i niemal każda kończyła się po północy! Wówczas małą grupką, ciesząc się z zaproszenia, wędrowaliśmy z Księdzem na plebanię, do tego ciekawego niezwykle mieszkania, oddychającego Historią... Kto bywał, ten wie. Kropka. Wypijaliśmy morze herbaty i kawy, paliliśmy papierosy, a jakże i słuchaliśmy barwnych opowieści Gospodarza, który nie ustępował nam w pochłanianiu tytoniowej trucizny, zawsze zaopatrzonej w słynne cygaretki. Około piątej nad ranem zbieraliśmy się: my do domu aktora, a ksiądz z perspektywą odprawienia rannej mszy świętej. Nie widać było po Nim zmęczenia, po nas chyba też nie - adrenalina działała!

Spotkań z Witoldem było jeszcze sporo. Były prywatne i te uroczyste, oficjalne, np. 3 maja, w mrocznych latach osiemdziesiątych, gdy przy pomniku Adama Mickiewicza lub w innym publicznym miejscu czytaliśmy poezję wieszczą. Wszystko to z inicjatywy Szefa rzecz jasna! BYŁ. Tak bardzo i intensywnie, że nawet nie rejestrowało się szczegółów.

W 1982 roku zdałam w Warszawie aktorski egzamin eksternistyczny, zostałam jeszcze na jeden aktorski sezon artystyczny w Gorzowie i potem przeniosłam się do teatru w Warszawie. Na zakończenie gorzowskich, pięknych lat postanowiłam pójść na pielgrzymkę do Częstochowy. Właśnie z Gorzowa, z Pierwszą Pielgrzymką Gorzowską, przygotowaną przez ks. Witolda. W duchu dziękczynienia i... z czystej ciekawości. Cudowny to był czas, niezwykle wpłynął na moje dalsze życie. Doszłam szczęśliwie po czternastu dniach wędrówki dzięki... adidasom, takim z darów, miękkim i wygodnym, bo u nas były tylko tenisówki, które odświeżało się pastą do zębów, tak, tak... Adidasy wręczył mi ksiądz Witold, gdy wyłuskał przypadkiem moje nazwisko na liście pielgrzymów i bezdyskusyjnie wpisał do grupy studenckiej. Ileż znajomości dzięki temu zawarłam! Trwają żywo do dziś. Z kochaną Genią Flaczyk, księdzem Darkiem Gasem, ojcem Chryzostomem Frycem.

A co do pielgrzymowania, otrzymałam od księdza szczegółowe instrukcje, dotyczące pielęgnacji... stóp, a jakże! Ile i jakie skarpetki wziąć, aby bezboleśnie dojść na miejsce. Zastosowałam bez zająknięcia i doszłam bez bąbelka! Taki był Witold. Oczywiście nic za darmo! Moim zadaniem w czasie drogi było czytanie poezji naszych wieszczów. Wyboru dokonałam tym razem sama. Miałam swoją godzinkę do dyspozycji, brałam w rękę pomarańczową, nagłośniającą tubę i zachowując tempo marszu, umiłałam patriotycznie czas pielgrzymującym w pocie czoła studentom.

Szłam jak na skrzydłach, kryzys przetrwałam, a anielskie, opiekuńcze skrzydła, roztaczał nad nami Szef, który co jakiś czas pojawiał się wśród nas. Czekaliśmy na takie chwile bardzo, zwłaszcza po dotarciu na tzw. bazę. Sunęły za nami tajemnicze samochody. Stróżę komunistycznego porządku dbali, abyśmy broń Boże nie zбочyli z obranej drogi. Jakże więc zdumiał nas widok księdza rzucającego się w objęcia milicjanta na skrzyżowaniu małej

mieściny - obaj panowie opuścili przedtem swoje auta, oczywiście! Zatkano nas! Okazało się, że ów milicjant, to kolega szkolny Szefa! Oj potrafił nas zaskakiwać, a potem swoim zaraźliwym, tubalnym śmiechem przywracał pokój sercom.

W moich warszawskich latach nasze kontakty rozluźniły się, ale gdy po roku 1984, po śmierci księdza. Jerzego Popiełuszki, zaczęłam porządkować i weryfikować swoje życie, co doprowadziło do odejścia z teatru, aktorstwa i podjęcia decyzji o wstąpieniu do Karmelu, wznowiliśmy kontakt. Ksiądz sekundował moim postanowieniom, aczkolwiek ciut sceptycznie. Przeszłam długą i niełatwą Abrahamową drogę i zostałam w końcu nauczycielką dykcji w różnych seminariach duchownych. Witolda cieszył taki obrót spraw. Podarował mi sporo materiałów, dotyczących moich nowych zadań, które i Jemu kiedyś służyły, gdy sam belfrował w Paradyżu.

Już ze Szczecina wpadałam czasem do Niego do Gorzowa, gdy był proboszczem na Mieszka I. Kiedyś zajechaliśmy w odwiedziny z ks. Janem Mazurem - przyjaźnili się w czasach seminaryjnych w Paradyżu. Soczyste to było spotkanie, bo obaj kapłani, choć różni temperamentem, znakomicie uzupełniali się w dyspacie. Cóż, chłonęłam treść i klimat, popijając dobrą kawę i od czasu do czasu ubarwiałam teatraliami. Moje rzadkie, niestety, wizyty u gorzowskich krewnych połączone były z krótką choćby wizytą na tej nowej, także charakterystycznej plebanii. Witold bywał w Szczecinie u sióstr Karmelitanek, więc i to była okazja do spotkania w pokoju jadalnym dla gości Karmelu lub raz w moim mieszkaniu, a bywało, że tylko w samochodzie. Poza tym był przecież telefon. Nieczęsto rozmawialiśmy, ale oboje mieliśmy świadomość takiej specjalnej więzi, która niewidzialnie, ale mocno łączy ludzi, którym dane było uprawiać niezwykle zawód, jakim jest aktorstwo. Nie zawsze tak jest, ale bardzo, bardzo często. To wspaniałe poczucie jedności i porozumienia - bez słów na wielu płaszczyznach. Jest to więź właściwie niezniszczalna.

Nie zdążyłam przyjechać do Gorzowa specjalnie do Witolda, choć umawialiśmy się. Jakieś moje rodzinne sprawy uniemożliwiły to. Oczywiście wiedziałam o Jego chorobie od lat. Żartobliwie zbywał zbyt szczegółowe pytania. Rozumiałam i nie nalegałam. Gdy ostatni raz - jak się okazało - zadzwoniłam, mogłam rozmawiać już tylko z czuwającym przy Nim w szpitalu księdzem, opiekunem, przyjacielem, który obiecał przekazać Witoldowi uściski, zapewnienie gorące o modlitwie.

Dotkliwie odczuwam Jego nieobecność tu na ziemi... Witoldzie do zobaczenia w Niebieskim Jeruzalem...

Ewa Węglarz

PS: Wzbudzał we mnie zawsze pewien nabożny respekt, który starałam się skrzętnie maskować, ale On doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nieprędko zaczęłam zwracać się do Niego po imieniu, choć On do mnie zawsze. W swoisty bezsłowny sposób zachęcał mnie